

... Aż dojdziemy wszyscy do jedności wiary i poznania Syna Bożego, do męskiej doskonałości, i dorośniemy do wymiarów pełni Chrystusowej...

„Jezus zwyciężył!”

Johann Christoph Blumhardt

— pionier walki duchowej

— prekursor postęgu uwalniania

(16.07.1805 – 25.02.1880)

1. Tło historyczne

Duchowny luteranśki Johann Christoph Blumhardt żył i działał w 19 wieku w Wirtembergii, która aż do roku 1871 była samodzielnym królestwem ze stolicą w Stuttgarcie. Obecnie teren ten wchodzi w skład kraju związkowego Badenii-Wirtembergii, tworzącego południowo-zachodnią część Republiki Federalnej Niemiec. Religią państwową na tym obszarze był od czasów reformacji tradycyjnie luteranizm. Kościół ewangelicki wyznania augsburskiego miał swoje parafie praktycznie w każdej miejscowości i formalnie należała do niego niemalże cała ludność. Kościołem tym zarządzała rada zwana konsystorzem, a jego oficjalnym, ustawowym zwierzchnikiem był sam król Wirtembergii. Lata 1805-1815 to w Europie okres zawieruch wojskowo-politycznych, wygląda jednak na to, że prócz krótkich przemarszów armii Napoleona wydarzenia te miały niewielki wpływ na tryb życia w Wirtembergii.

W parafiach ewangelickich raczej nieznanie były pojęcia nawrócenia i osobistej relacji z Chrystusem, praca kościelna była wyłączną domeną wykształconych teologicznie i ordynowanych duchownych, zaś rola zwykłych parafian ograniczała się do biernego udziału w nabożeństwach i spełnianiu kilku obowiązków jak chrzest w wieku niemowlęcym, udział w katechezie, confirmacja oraz ślub i pogrzeb kościelny. Autorytet Pisma Świętego był w tym czasie wśród duchownych ewangelickich mocno nadszarpnięty przez teologię liberalną, powstała pod wpływem filozofii oświecenia, racjonalizmu i romantyzmu. Podważano powszechnie nie tylko natchniony charakter Pism, lecz odrzucano często wszystko, co nadnaturalne, a nawet narodzenie Jezusa z dziewicy, Jego ofiarę zastępczą i zmartwychwstanie. Powszechnie było tak zwane „odmitologizowanie” Biblii, którego ofiarą padało wszystko, czego

rozum nie zechciał zaakceptować. W tym teologicznym liberalizmie z chrześcijaństwa pozostawała w zasadzie tylko etyka humanistyczna, w dodatku jeszcze nadwątlona przez relatywizm moralny. Szczególnie uczelnie teologiczne były pod mocnym wpływem tego prądu, co nie pozostawało bez zgubnego wpływu na sylwetki ich absolwentów, a przez nich na kondycję kościoła.

Jednocześnie od czasów działalności w Niemczech Spenera (1635–1705), Francke’go (1663–1727) oraz hrabiego Zinzendorfa (1700–60) na teren Wirtembergii przenikały idee pietyzmu i powstawały tam liczne, mniejsze lub większe grupy „braci”. W środowisku tym następowało duchowe ożywienie jednostek i ich rozwój oparty na Piśmie Świętym jako podstawowym autorytecie. Usługę sprawowali „bracia starsi” z racji swojego osobistego poznania Pana, a nie z racji wykształcenia i ustanowienia do funkcji kościelnych. Spotkań nie nazywano też nabożeństwami, lecz „godzinami” — biblijnymi, modlitewnymi itp. W dzisiejszym naszym zrozumeniu chodziło więc o ewangeliczny ruch odnowy. Nacisk kładziono na osobistą, głęboko uczuciową więź z Bogiem i wynikające z niej nowe życie z Ducha. Jeśli jednak chodzi o zjawiska „charyzmatyczne” takie jak uzdrawianie, uwalnianie od wpływów demonicznych czy występowanie cudów, to nawet w tych grupach były to sprawy całkiem nieznanne. W ślad za „prawowiernym” nauczaniem w luteranizmie wierzone wprawdzie w autentyczność relacji biblijnych, uważano jednak, że wszystkie te rzeczy ograniczone były do okresu usługi Jezusa i apostołów i nie mają żadnego odniesienia do teraźniejszości. Dzisiaj pogląd taki nazywamy dyspensacjonizmem.

Relacje pomiędzy luteranizmem państwowym, a ruchem pietystycznym były różnorodne, zależne od konkretnych osób, miejsca i czasu. Generalnie spoglądano na siebie wielce nieufnie i stawiano sobie wzajemnie wiele zarzutów, jednakże obie strony podejmowały wysiłki, zmierzające do unikania otwartych konfliktów. I na ogół, poza nielicznymi wyjątkami, udawało się zapobiec wzajemnej wrogości, a w ograniczonym zakresie zdobywano się na wzajemną tolerancję, a niekiedy nawet na pewne formy współdziałania. Uczestniczenie w spotkaniach grup pietystycznych nie oznaczało na ogół zerwania z kościołem luteraniskim, co mimo trudności ułatwiało współistnienie i wzajemne oddziaływanie na siebie. Okoliczności te są warte odnotowania na samym początku, gdyż miały one istotne znaczenie dla życia i posługi Blumhardta, a także ważne są dla naszego jej zrozumienia.

2. Dzieciństwo i czasy szkolne

Johann Christoph Blumhardt urodził się w Stuttgarcie jako drugie z sześciu dzieci Johanna Christopha i Johanny Luizy z domu Decinger. Rodzice pochodzili z wiejskiego środowiska rolniczego, lecz

ówczesnym zwyczajem przenieśli się do miasta. Ojciec pracował przez pewien czas jako piekarz, potem jako handlarz mąką, a następnie jako pracownik państwowy w dystrybucji drewna dla potrzeb rzemiosł miejskich. Była to rodzina niezamożna, gdzie różne ograniczenia i braki były na porządku dziennym. Dzieci musiały pomagać w przenoszeniu drewna i w innych pracach. Zaledwie w cztery miesiące po urodzeniu Johanna przez Stuttgart ciągnęła na wschód armia Napoleona i w mieście stacjonowały dziesiątki tysięcy francuskich żołnierzy, z czego jednak mimo zagrożeń rodzina Blumhardtów wyszła bez szwanku.

Rodzice byli luteranami, lecz należeli także do jednego z odłamów rozpowszechnionego wtedy środowiska pietystycznego — tzw. *pregizerian* (od duchownego luterńskiego *Pregizera*), odznaczających się bardzo niezwykłą jak na owe czasy formą pobożności, którą cechowała spontaniczna radość, wesoly śpiew i okrzyki, na skutek czego nadano im przydomek „*juch-cha-chrześcijan*”. Sam Blumhardt tak wspomina swoje dzieciństwo: „Ojcu bardzo leżało na sercu budzenie w dzieciach świadomości chrześcijańskiej. Regularnie zgromadzał nas do wspólnej modlitwy, czytania Biblii i śpiewu pieśni duchowych, zachęcając nas do tego w najróżniejszy sposób. Nigdy nie zapomnę chwil, kiedy pewnego wieczora mówił do nas o mogących nas spotkać w późniejszych czasach prześladowaniach za wyznawanie imienia Jezusa. Całe moje ciało zdrząło, kiedy żywo gestykulując zakończył wołając: »Dzieci, raczej pozwólcie sobie uciąć głowę, niż miałybyście zaprzeczyć się Jezusa!« Takie opowiadania, poparte troskliwością serdecznie kochającej matki i postawą wuja już od wczesnych lat budziły we mnie dobro i uważam to za wyjątkowy przywilej, że mam z dzieciństwa niejedno żywe wspomnienie szczególnych działań Bożej łaski nad moim sercem.”

Johann był szybko rozwijającym się dzieckiem, dzięki czemu poszedł do szkoły już w wieku 4 lat! Z powodu niskiego wzrostu do szkoły często zanosił go tato, a ze szkoły przynosił nauczyciel. Prócz licznych kolegów szkolnych miał też wiele przyjaciół wśród dzieci swoich krewniaków oraz w sąsiedztwie. Szczególny sentyment do dzieci pozostał mu przez całe życie. Wielką korzyścią duchową dla Blumhardta okazało się to, że zarówno w szkole podstawowej, jak i w gimnazjum znalazł się pod opieką głęboko wierzących nauczycieli. Uniknął dzięki temu szoku i załamania duchowego, jakie często bywa udziałem dzieci rodziców wierzących, które znajdują się później w środowisku świeckim. Wręcz przeciwnie, jego lata szkolne okazały się być kontynuacją tego kierunku rozwoju duchowego, który nadali mu rodzice. Pewnym problemem dla rodziny były koszty jego edukacji, problem ten jednak szybko rozwiązały doskonałe postępy Johanna w nauce, dzięki którym uzyskiwał zwolnienie od należnych opłat.

Zarówno otoczenie Johanna jak i on sam skłaniało się ku temu, iż jego powołaniem powinien być zawód duchownego. Zaważył też przykład jego wuja, który był luterańskim księdzem. Drogę do kariery w służbie kościoła luterańskiego otwierał tak zwany egzamin państwowy, poprzez który władze kościelne selekcjonowały najlepszych spośród zwykle bardzo licznych chętnych, jako że zawód księdza uchodził za bardzo nobilitujący. Ci, którzy zdali ten egzamin, mogli już liczyć na przyjęcie do seminarium i na studia, przy czym koszty związane z ich wykształceniem ponosiły władze kościelne. Po konfirmacji w roku 1819, którą Johann traktował bardzo poważnie, został skierowany do egzaminu państwowego. W tym roku ze 100 zgłoszonych zdać mogło 30. Sądząc po średniej ocen z gimnazjum Johann nie powinien był mieć ze zdaniem egzaminu państwowego żadnych problemów. Egzaminu jednak nie zdał.

Wypada na tym miejscu zaznaczyć, że było to w życiu Blumhardta pierwsze z całej serii wydarzeń, które zwykle odbierane są jako „pech” czy też jako porażki, a które z perspektywy czasu okazały się być przypadkami szczególnego Bożego prowadzenia, poprzez które Pan prowadził Blumhardta ku jego duchowemu przeznaczeniu. Ponieważ istniała możliwość ponownego przystąpienia do egzaminu po upływie roku, rodzice skorzystali z tego i w roku 1820 Johann ponownie stanął do egzaminu. Tym razem zdał bez trudu i tym samym znalazł się na drodze do kariery duchownego w państwowym kościele luterańskim Wirtembergii.

3. Seminarium i studia teologiczne

Blumhardt udał się do seminarium w Schöntal, gdzie miał spędzić 4 lata. Już w drodze spotkał innego, podążającego tam studenta, z którym przyjaźń wpłynęła znacząco na całe jego życie. Był nim syn Wilhelm znanego przywódcy i założyciela zboru braterskiego w miejscowości Korntal Gottlieba Wilhelma Hoffmanna. Wkrótce niski czarnowłosy Blumhardt został zaproszony do domu swojego kolegi, wysokiego blondyna Hoffmanna i do zboru w Korntal. Zbór ten okazał się dla Johanna oazą Bożej miłości i pokoju podczas całych jego studiów. W seminarium zdobywał wiedzę teologiczną, natomiast w Korntal, gdzie spędzał praktycznie każde wakacje i ferie, zdobywał mądrość życiową i duchową dojrzałość. Zwłaszcza po śmierci swojego ojca w roku 1822 żył się mocno z rodziną Hoffmannów i był tam traktowany jak własny syn.

Po latach wspominał niezwykle ciepło to wszystko, co stało się jego udziałem w Korntal: „Zawdzięczam temu miejscu niezmiernie wiele —można powiedzieć: wszystko. »Po tym wszyscy poznają, żeście

uczniami moimi, jeśli miłość wzajemną mieć będziecie.« W Korntal, a zwłaszcza w rodzinie Hoffmannów, widziałem wypełnienie tego werseku. Kiedy wchodziłem do tutejszych domów, jakąż to była miłość! Kiedy byłem u Hoffmannów, jakąż miłością byłem otaczany! A kiedy podróżowałem z Hoffmannem, znajdowałem to samo wśród braci, których odwiedzaliśmy.” Ta atmosfera życia duchowego w Bożej miłości wycisnęła niezatarte piętno na całym przyszłym życiu i działalności Blumhardta. Dzięki tej duchowej przystani przeszedł też bez duchowego uszczerbku przez uczelnie teologiczne, wiejące lodowatym chłodem liberalizmu: seminarium w Schöntal (1820-1824) oraz wydział teologiczny uniwersytetu i akademik w Tübingen (1824-1829). Ludzie wytyczyli mu ramy jego edukacji, ale Bóg wytyczył i zrealizował w jego życiu swoje własne. Można bez przesady powiedzieć, że środowisko zborów braterskich ukształtowało go znacznie bardziej niż same studia teologiczne. A tego wszystkiego nie byłoby, gdyby nie „pech” oblania egzaminu państwowego w roku 1819.

4. Początkowe miejsca działalności

Jego kariera duchowego rozpoczęła się rocznym pobytem w miejscowości Dürrmenz w charakterze wikariusza. Tam zdobywał praktykę w indywidualnym poradnictwie duszpasterskim. Rzuca się w oczy, że uważał się za będącego „w służbie Ewangelii”, a nie w służbie organizacji kościelnej. Pracował z radością i zapałem, a jego zakres zainteresowań był bardzo szeroki. Jeszcze w domu rodziców nauczył się gry na pianinie, miał zamiłowanie do muzyki, co też w różnoraki sposób wykorzystywał, tworząc pieśni i uczestnicząc w redakcji śpiewników kościelnych. Studiował też z zainteresowaniem życie Lutra i innych reformatorów, aby móc lepiej służyć swoją wiedzą ludziom.

Ponieważ jego wspomniany już wuj, ksiądz Christian Gottlieb Blumhardt był jednym z nauczycieli w Domu Misyjnym w Bazylei, Johann otrzymał propozycję pracy w tej instytucji jako wykładowca. Była to ewangeliczna szkoła biblijna, nie związana z kościołem luteranckim, ale utrzymująca z nim poprawne stosunki. Na prośbę wuja Christiana konsystorz zgodził się na zwolnienie Johanna Blumhardta na pewien czas z obowiązków kościelnych. W sumie Johann spędził w Bazylei siedem lat (1830-1837). Jako absolwent uniwersytetu „zarażonego” liberalizmem musiał tam stawić czoła różnym podejrzeniom, ale w końcu pozyskał pełne zaufanie. Prócz obowiązków w szkole biblijnej prowadził w tym okresie ożywioną działalność duszpasterską i kaznodziejską w licznych zborach ewangelicznych na terenie Szwajcarii i Południowych Niemiec. W roku 1836 nawiązał znajomość ze studentką szkoły biblijnej Doris Köllner z miejscowości Sitzenkirch w

po bliziu Bazylei. W ostatnim dniu roku nastąpiły ich zaręczyny. Teraz Blumhardt musiał serio pomyśleć o swoim stałym ognisku domowym.

W czasie pobytu w Bazylei Blumhardt przeżył dwa przypadki cudownego wysłuchania modlitwy w imieniu Jezusa — raz kiedy sam chorował, a innym razem kiedy modlił się o chorego przyjaciela. W obu przypadkach uzdrowienie było natychmiastowe. To były pierwsze jaskółki jego późniejszej posługi.

Po powrocie z Bazylei do Stuttgartu zgłosił się w konsystorzcu z prośbą o nowe stanowisko kościelne. Wtedy spotkał go kolejny „pech”. Zaledwie kilka dni wcześniej było jeszcze wolne bardzo wysoko cenne stanowisko wikariusza państwowego w Stuttgarcie, które byłby otrzymał, gdyby się nie spóźnił. Teraz został skierowany na stanowisko wikariusza do Iptingen, najgorszej parafii w całej Wirtembergii. Sytuacja była tam opłakana. Miejskowa grupa pietystycznych „braci” żyła od lat w ostrym konflikcie z parafią luterańską, zaś proboszcz tejże żył w ostrym konflikcie ze swoim „stadem”, które go całkowicie bojkotowało. Przybyły wikariusz musiał więc przejąć wszystkie obowiązki proboszcza, choć ten zajmował nadal plebanię i pobierał pensję. Ten trudny okres w życiu Blumhardta znany jest z jego obszernych listów do narzeczonej. Zaczął od spacerów po wsi, gdzie rozmawiał głównie z dziećmi, gdyż domy były zamknięte. Dopiero po czasie zaczęto zapraszać go do środka. Ale kontrast między jego serdecznym sposobem bycia, a zachowaniem proboszcza był tak rażący, że niebawem kościół wypełnił się zgłodniałymi Słowa Bożego parafianami. Niebawem dołączyli do nich miejscowi pietyści, zelektryzowani wiadomością, że zjawił się nowy, „wierzący” ksiądz.

W ciągu zaledwie kilku miesięcy parafia przeżyła niesamowite ożywienie i odnowienie. Blumhardt kilkakrotnie spotykał się z liderami grupy pietystycznej, przy czym nie było między nimi żadnych sporów, a raczej wytworzyła się mocna więź duchowa. Kilkudziesięcioletnia schizma została praktycznie zażegnana, a Blumhardt znalazł u pietystów zrozumienie i wsparcie duchowe. Także atmosfera wśród samych parafian uległa radykalnym zmianom. Nieznośne zachowanie dzieci na lekcjach religii i na katechezie przedkonfirmacyjnej całkowicie się zmieniło. Skłócenia z sobą dotąd ludzie udzielać sobie zaczęli pomocy, zwłaszcza przy usuwaniu szkód po wicherze i powodzi. Na nabożeństwa w Iptingen zaczęły tłumnie przychodzić osoby z wielu sąsiednich parafii. W listach do narzeczonej Johann donosi z wielką radością o wyraźnie widocznej przemianie wewnętrznej coraz to większej liczby parafian, przy czym przemiany te okazują się być trwałe. W rok po jego przybyciu do Iptingen w przepelnionym kościele pojednana społeczność wzruszona do łez obchodzi wspólnie Wieczersę Pańską.

5. Na wyznaczonym posterunku

Przez cały rok w Iptingen Johann nie może odwiedzać narzeczonej, nie chcąc opuszczać budzącej się parafii, a jednocześnie pilnie poszukuje stałego miejsca proboszcza, zgłaszając się do konkursów w parafiach, gdzie są wolne miejsca. Ciągłe otrzymuje jednak odpowiedzi odmowne. Oboje z Doris przyjmują to jako Boże kierownictwo i cierpliwie, choć nie bez wysiłku, oczekują na dalsze Boże prowadzenie. W końcu w lipcu 1838 otrzymuje Blumhardt nominację z podpisem króla na stałe stanowisko proboszcza w Möttlingen. Znow „pechowo”, wbrew jego własnym pragnieniom, gdyż z przyczyn duchowych pociągało go raczej stanowisko w innej miejscowości, duchowo bardzo podupadłej. Po doznanym błogosławieństwie Bożym w Iptingen czuł się bowiem pociągany i powoływany do pracy w trudnych warunkach, podczas gdy przydzielona mu parafia cieszyła się opinią jednej z najlepszych, gdyż tradycyjnie działali tu księża bardzo szanowani i wszystko wydawało się tu być w należyтым porządku. Pan jednak oceniał sytuację zupełnie inaczej. Jakże złudną miała się w przyszłości okazać ta ludzka opinia! To właśnie tutaj według planów Bożych miała zostać stoczona jego przyszła walka i miały ujawnić się jej owoce.

Małżeństwo Johanna Blumhardta z Doris Köllner zostało zawarte 4 września 1838 i krótko potem młoda para wprowadziła się do plebanii w Möttlingen. Małżonka Blumhardta Doris okazała się być dla jego misji szczególnym Bożym darem. Wszystkie dokonania, walki i zwycięstwa były ich wspólnym udziałem i w pojedynkę byłyby absolutnie nieosiągalne. Doris czynnie uczestniczyła we wszystkim za wyjątkiem wygłaszania kazań, mimo iż szybko pojawiło się potomstwo: w roku 1840 urodziła się Maria, w roku 1841 Karol, a o rok później Christoph, przyszły współpracownik i następca Johanna Blumhardta. Prócz wielu prac związanych z prowadzeniem parafii macierzystej i parafii filialnej w sąsiednim Haugstett na Blumhardta spadł jeszcze dodatkowy ciężar, kolejny „pech” — nietypowe życzenie ustępującego proboszcza, który był jego przyjacielem, relacjonowania mu rozwoju wydarzeń w parafii. Nowy proboszcz wywiązywał się z tego dziwnego zobowiązania przez szereg lat bardzo skrupulatnie, opisując szczegółowo przebieg prawie każdego dnia. Tylko że... dzięki temu zachował się szczegółowy materiał o wszystkim, co działo się w Möttlingen.

Problemem duszpasterskim, który coraz bardziej obciążał Blumhardtów i absorbował coraz więcej ich uwagi i sił, była pewna dziewczyna Gottliebin [Bogumiła] Dittus (ur. 1815), która po śmierci rodziców zamieszkała z siostrą Katheriną i bratem Hansjörgiem w ubogiej chacie wiejskiej. Była inteligentna i uzdolniona muzycznie, nieznacznie fizycznie upośledzona, ale otwarta na Słowo Boże. Zaraz po ich

zamieszkanu w tym domu zaczęły występować dziwne zjawiska jak stukanie, pojawianie się świateł, jakichś postaci i inne. Ludzie mówili, że tam „straszy”. Sama Gottlieb in opisywała też swoje różne dziwne przeżycia. Johann i Doris starali się udzielić jej pomocy duszpasterskiej, na co Gottlieb in reagowała różnie. Ponieważ przeważała jej niechęć, Johann zaczął się z tych kontaktów wycofywać. Uważał, że chodzi o jakiś rodzaj zabobonów ludowych, którym nie należy poświęcać większej uwagi. Jednak zjawiska się nasilały i zyskiwały coraz większy rozgłos. Doszło nawet do urzędowych badań, z których sporządzono protokoły. Sprawa ta była coraz większym ciężarem dla proboszcza i jego żony, gdyż stawiała miejscowość w wielce niekorzystnym świetle.

Dodatkowym ciężarem był całkowity brak pozytywnych skutków jego pracy kaznodziejskiej. W kościele panował powszechny zwyczaj przesypania nabożeństw. Podczas kazania całe zgromadzenie spało twardym snem i dopiero końcowa pieśń budziła ludzi ze snu. Kryzys ten wywoływał głęboki ból i poczucie porażki w sercu Blumhardta i jego żony. Pewna oznaka przesilenia nastąpiła w Wielki Piątek roku 1842. Przygnębiony tym duchowym snem Johann modlił się gorąco przed kazaniem o Bożą moc. Odłożył potem przygotowane notatki i w danej mu mocy Ducha wygłosił kazanie, podczas którego wszyscy się zbudzili i uważnie słuchali. Od tego dnia sen podczas kazań ustąpił, nadal jednak nie było żadnych innych oznak duchowego przełomu.

Stan Gottlieb in Dittus jeszcze się pogarszał. Warto zaznaczyć, że była ona pod stałą opieką swojego lekarza, jednak gdy chodzi o jej „ataki”, oświadczył on zdecydowanie, że jego wiedza nie ma tu żadnego zastosowania i że jest to problem duszpasterski, o czym jednak nie był przekonany Blumhardt. Pewna kulminacja nastąpiła w niedzielę 26 czerwca 1842, kiedy duchowny został pilnie wezwany, gdyż znowu „działo się coś strasznego”. Sam opisuje to następująco: „Tej niedzieli przyszedłem znów do niej i przyglądałem się jej okropnym drgawkom. Było już przy niej kilka jej przyjaciółek. Usiadłem trochę dalej. Wywracała oczy, przechylała głowę i skręcała ciało, a z jej ust wydobywała się co chwila piana. Po dotychczasowych wydarzeniach stało się dla mnie jasne, że wchodzi tu w grę coś demonicznego. Odebrałem to bardzo boleśnie, że w tak okropnej rzeczy nie można znaleźć żadnego środka ani żadnej rady. Podczas tych myśli ogarnął mnie nagle jakiś rodzaj zawziętości. Zerwałem się, chwyciłem jej sztywną rękę, jej palce przycisnąłem gwałtownie ku sobie jak do modlitwy, mimo jej nieprzytomności krzyknąłem jej głośno do ucha jej imię i powiedziałem: »Złóż ręce i módl się: Panie Jezu, pomóż mi! Już dosyć napatrzyliśmy się na to, co robi diabeł. Teraz zobaczymy, co potrafi Jezus!« Za kilka chwil ocknęła się, powtórzyła słowa modlitwy i ku wielkiemu

zdumieniu obecnych wszelkie drgawki ustały.”

Był to moment przełomowy w tym znaczeniu, że od tej chwili Blumhardt nie uchylał się już od walki. Pisał o tym później: „To był decydujący moment, który z niepowstrzymaną gwałtownością rzucił mnie w wir walki o tę sprawę. Przedtem nie miałem nawet najłżejszych myśli, aby tak postąpić. Także i teraz kierował mną ten bezpośredni nacisk, który stale jeszcze robi na mnie mocne wrażenie, a który także i później był dla mnie często jedynym uspokojeniem, ponieważ mnie przekonywał, że to nie ja z własnego wyboru i zarozumiałości podjąłem się czegoś, czego strasznych następstw nie mogłem sobie wtedy uświadomić.” Ale jeśli chodzi o przebieg całej sprawy, był to właściwie dopiero sam początek właściwej walki. Rezultat w postaci ustąpienia ataku „choroby” był niewątpliwie ogromną zachętą, Blumhardt jednak nie uważał, że to już nie wróci. Polecił, aby w razie nawrotu drgawek wezwać go znowu. I rzeczywiście, późnym wieczorem wszystko się powtórzyło. Tak rozpoczęła się duchowa walka, w której Blumhardt nie mógł korzystać z żadnych wskazówek ani doświadczeń kogokolwiek. Prócz znajomości Pisma Świętego i ufności w Boże prowadzenie ani ze studiów, ani z innych źródeł nie wyniósł nic, z czego mógłby teraz skorzystać. Nie wiedział, jak długo walka będzie trwała, jaki będzie miała przebieg i jak się zakończy. Tak naprawdę nie wiedział ani z czym lub z kim walczy, ani o co walczy.

6. Okres duchowej walki

Poniżej zrelacjonujemy stoczoną walkę tylko fragmentarycznie, cytując przeważnie samego Blumhardta, który cały ten proces opisywał szczegółowo trzy razy: w sprawozdaniu do władz kościelnych (1844), w serii artykułów w czasopiśmie kościelnym (1845) i w swojej odpowiedzi na ostry publiczny atak dr deValenti, który był jego kolegą ze studiów (1850). Dzięki temu istnieje obszerny, szczegółowy materiał, tak iż chodzi prawdopodobnie o najobszerniejszą i najdokładniej udokumentowaną relację o wydarzeniach tego typu, jaka istnieje.

Kolejny „atak” ustąpił w podobny sposób jak poprzedni, po czym „chora” spędziła spokojną noc i następny dzień, ale wieczorem ataki powróciły. „Jak zwykle pozostałem przy niej z dwoma pomocnikami przez kilka godzin, przy czym odczuwałem, że coś bardzo złowrogiego kieruje się z niej przeciwko mnie.” „Wyglądało to, jak gdyby jakaś duchowa moc wydobywała się z końców jej palców.” Obecność Blumhardta i jego modlitwy zawsze w końcu uspokajały „chorą”. „To powtórzyło się jeszcze kilka razy z przerwami od jednego do trzech dni, aż w końcu ten rodzaj konwulsji ustąpił całkowicie.” Wkrótce jednak pojawiły się „ataki” innego rodzaju. W pewnej chwili, kiedy

Blumhardt wypowiedział w modlitwie imię Jezus, usłyszał z ust Gottliebina: „Tego imienia nie znoszę!” Był to jednak nie jej własny głos, lecz zmarłej przed dwoma laty kobiety, którą Blumhardt znał za życia z rozmów duszpasterskich. „Nakazałem jej poważnym głosem wyjść, ale nie w imieniu Jezusa (gdyż długo nie odważałem się tego robić). Gottliebina uderzyła rękami o pościel i opętanie wydawało się przemieniać. Kilka dni później powtórzyło się pozorne opętanie... przy czym wyszły w opisany sposób najpierw trzy, potem siedem, a w końcu czternaście demonów.” Niektórzy z obecnych, prócz samego Blumhardta, doświadczyli przy tym szturchnięcia lub uderzenia jakby pięścią.

Blumhardt odnosił wrażenie, że sprawa się jeszcze pogarsza, czuł jednak teraz wewnętrzne przynaglenie do dalszej walki, miał także świadomość, że gdyby chciał się wycofać, sam byłby atakowany. „Po tych czterestu demonach ich liczba powiększyła się najpierw do 175, potem do 425.” Między tym Gottliebina miewała spokojne dni. Nocą widziała tłoczące się wokół niej jakieś postacie, które między innymi dusiły ją, pozostawiając na jej szyi rozległe rany jakby po oparzeniu, które następnego dnia stwierdzał zdumiony lekarz. Ich gojenie się trwało wiele tygodni. „Najgorszą noc miałem przed 22 lipca 1842. Walczyłem od ósmej wieczorem do czwartej rano bez zadowalającego rezultatu, jak nigdy dotąd.” „Po południu musiałem do niej wrócić i trwało to do siódmej wieczorem, przy czym nagle zaczęło się wychodzenie demonów ustami. Przez kwadrans leżała jak martwa. Musiałem zebrać w sobie całą siłę wiary, zanim znowu zaczęła oddychać... Po kilku mocnych wstrząsach ciała otworzyła szeroko usta i wyglądało, że wypływa demony jednego po drugim. Działo się to partiami po 14, 28 lub 12, w sumie doszło do tysięcy, bez słowa z mojej strony i bez słowa z ich strony, przy każdej nowej partii rzucały na mnie tylko gniewne spojrzenia. W końcu to ustało i wydawało się to być ważnym etapem. Następnych kilka tygodni działo się tyle co nic i Gottliebina mogła chodzić, gdzie chciała. Bardzo się wtedy cieszyłem.” „Nigdy jednak nie pomyślałbym, co teraz nastąpi.”

W sierpniu 1842 Gottliebina zjawiała się na parafii i oznajmiła, że dręczące ją zjawy, których nie było już przez miesiąc, powróciły i że regularnie w każdą środę i piątek jest przez 3 godziny dręczona do krwi. Przeraziło to Blumhardta niesamowicie. To, co znał tylko z bajek ludowych o wampirach, teraz stawało się jego realnym doświadczeniem. Kolejne ataki były o wiele silniejsze choć zupełnie innego rodzaju. Gottliebina była od wewnątrz przymuszana do czynów zabójczych i samobójczych, tak iż usiłowała napadać rodzeństwo nożem, wyskakiwać z okna lub wieszać się. W pewnej chwili z jej ust odezwały się liczne głosy. Demony gniewnie i rozpaczliwie oskarżały Blumhardta: „Te-

raz wszystko już przegrane. Wszystko wyzdradzone. Ty całkiem nas zniszczysz!... To twoja wina z tymi twoimi wiecznymi modlitwami. Biada! Biada! Wszystko stracone! Jest nas 1067, a wielu jeszcze żyje.” Przez wielogodzinną modlitwę i nakazy wszystkie te duchy wyszły w opisany już sposób. Wyglądało na to, że chodzi o duchy zmarłych, dręczone przez szatana z powodu ich parania się czarami i okultyzmem, ale Blumhardt z zasady nie wyciągał z takich „informacji” żadnych wniosków, wiedząc, że ma do czynienia z perfidnym ojcem kłamstwa. Jednak związek tego wszystkiego z czarami i okultyzmem stawał się dla niego z biegiem czasu coraz bardziej oczywisty. To, co powszechnie traktowane było jako niewinny folklor, okazało się być zgubnym w skutkach otwieraniem się na realnie istniejące moce ciemności i zła.

W trakcie walki wydawało się, jak gdyby pojawiały się coraz to nowe i coraz to złośliwsze i oporniejsze rodzaje demonów, które w Gottliebin „wchodzą”, a po ostatecznym „wypędzeniu” już się nie pojawiały, dając miejsce kolejnym, co świadczyłoby o coraz większym poruszeniu w świecie duchowym. Poszczególne konfrontacje ciągnęły się zazwyczaj od kilku do kilkunastu godzin, przerywane krótszymi lub dłuższymi okresami względnego spokoju. Od pewnego momentu za radą jednego ze swoich przyjaciół Blumhardt zaczął też stosować post. Píše o tym: „Spróbowałem tego, nie mówiąc o tym nikomu i muszę stwierdzić, że w kolejnych walkach było mi dzięki temu znacznie łatwiej. W szczególności zyskałem to, że mogłem mówić o wiele spokojniej, bardziej zdecydowanie i z większą mocą. Nie musiałem też przebywać tam przez tak długi czas. Odczułem również, że nawet będąc nieobecny mogę skutecznie oddziaływać, a kiedy przyszedłem, osiągałem często w kilka chwil znaczące rezultaty.”

Przeważała taka kolej rzeczy, że postacie, widzialne tylko dla Gottliebin, męczyły ją, pozostawiając na jej ciele skaleczenia i krwawiące rany, widoczne dla wszystkich i gojące się powoli. Pewnego dnia Gottliebin „czuła w sobie wyraźnie demona najgorszego rodzaju. Często leżała jak umarła, mając oddech wstrzymany od wewnątrz.” Pojawiły się też ponownie krwawienia, „aczkolwiek ich przyczyna wydawała się teraz inna niż wcześniej. Pościłem, ale tego dnia okoliczności wydawały się być gorsze niż kiedykolwiek. Jednak dzięki modlitwie krwawienie wkrótce ustało.” Rozgorzała teraz zacięta walka z tym demonem, który był „uparty, wyniosły i bluźnierczy”. Gardło Gottliebin zostało mocno poparzone, na skutek czego cierpiała przez wiele tygodni.

Walki przy łóżku cierpiącej Gottliebin nie były bynajmniej jedyne, jakie Blumhardt musiał toczyć. Borykał się też z niezrozumieniem władz kościelnych, opinii publicznej, a nawet większości swoich przyjaciół. W konsystorzu uchodził za kłopotliwą czarną owcę,

bez przerwy stwarzającą problemy i jedynie wyjątkowa pokora, cierpliwość i ustepliwość Blumhardta zapobiegała drastycznym rozwiązaniom. Prasa była mu przeważnie nieprzychylna, był nawet wyśmiewany i przedstawiany jako jakiś dziwak czy psychopata. A przyjaciele napominali go i ostrzegali, przekonani, że wpakował się w coś, co w końcu go zniszczy, gdy zaś ich rady okazywały się nieskuteczne, odwracali się od niego. W tym trudnym czasie ciężar walki spoczywał na wytrwałych, usilnych modlitwach małej grupki, złożonej z Blumhardtów i kilku ich najwierniejszych przyjaciół. To tam przebiegał proces ich głębokiej pokuty przed Bogiem, sądu, oczyszczenia, przeobrażenia, duchowego wzrostu i uzbrojenia, który sprawiał, że szala zmagania bardzo powoli przechylała się ku zwycięstwu mocy Bożej.

7. Ostateczne zwycięstwo

Na takich zmaganiach upłynął prawie cały rok 1843. W grudniu mała grupka modlicieli gorąco prosiła Pana, aby przynajmniej święta Bożego Narodzenia było im dane spędzić spokojnie. Stało się jednak wręcz przeciwnie. Święta okazały się być okresem najbardziej zażartej walki. Oto opis samego Blumhardta: „Najgorsze było to, że w tych dniach wpływy ciemności ogarnęły także na wpół niewidomego brata oraz siostrę Katarzynę, tak że musiałem toczyć rozpaczliwą walkę z trzema naraz, przy czym wewnętrzny związek tych spraw był oczywisty... Były to dnie, jakich, mam nadzieję, nie będę już musiał przeżywać. Doszło do tego, że musiałem dosłownie wszystko rzucić na szalę, aby bądź zwyciężyć, bądź zginąć. Aczkolwiek mój wysiłek był bardzo wielki, równie mocno odczuwałem Bożą ochronę, gdyż nie czułem ani śladu zmęczenia czy osłabienia nawet po czterdziestogodzinnym czuwaniu, poszczeniu i zmaganiu.”

„Najszybciej został uwolniony ich brat, tak iż był w stanie zaraz pomagać czynnie w tym, co miało nastąpić. Istotą sprawy nie była teraz Gottlieb, która po ostatnich walkach wydawała się być zupełnie uwolniona, lecz jej siostra Katarzyna, która wcześniej nie doświadczała niczego, nawet najślabszego w tym rodzaju, teraz natomiast szalała w taki sposób, że tylko z trudem można ją było utrzymać. Groziła mi, że rozerwie mnie na tysiąc kawałków, więc nie mogłem do niej się zbliżyć. Bez przerwy próbowała, jak mówiła, własną ręką rozedrzeć sobie ciało, lub też czała się, jakby gotując się do ataku na trzymających ją. Przy tym ryczała w taki sposób, jakby odzywało się z niej tysiące głosów. Najbardziej znamienne było to, że pozostawała przy tym całkowicie przytomna, toteż można było z nią rozmawiać, zaś na ostre napomnienia odpowiadała, że nie może inaczej mówić ani postępować. Prosiła, by ją mocno trzymać, aby z powodu niej nie stało się nic

złego... Prócz tego dawał o sobie równie wyraźnie znać ów demon, który tym razem nie przedstawiał się jako duch zmarłego, lecz jako wysoki rangą anioł szatana, zwierzchnik wszelkich czarów, upoważniony do sprawowania władzy nad całością tego piekielnego dzieła. Skoro jednak teraz musi pójść do otchłani, czarodziejskiej sztuce zostanie zadany śmiertelny cios, tak iż będzie ona musiała upaść.”

„Nagle około północy wyglądało na to, jakby demon zobaczył otwartą ognistą otchłań. Z krtani dziewczyny kilkakrotnie wydobyły się w ciągu około kwadransa krzyki rozpaczy tak wstrząsające i głośne, jakby dom miał się zawalić. Czegoś bardziej przejmującego grozą nie sposób sobie wyobrazić, toteż ponad połowa mieszkańców miejscowości, zdjeta przerażeniem, dowiedziała się o toczącej się walce. Katarzyna wpadła przy tym w takie drżenie, że wydawało się, iż jej kończyny mogą się poodrywać. Aczkolwiek demon wydawał się być przerażony i zrozpaczony, jego upór był nadal olbrzymi, gdyż żądał od Boga znaku z nieba i dawał znać, że prędzej nie wyjdzie, dopóki nie pojawi się znak z nieba, który wstrząśnie całą miejscowością, aby nie musiał złożyć swojej roli tak zwyczajnie jak inni grzesznicy, lecz aby mógł zstąpić do piekła z honorem. Tak okropnej mieszaniny rozpaczy, złości, uporu i wyniosłości nie sposób nigdzie zobaczyć.”

„Tymczasem wydawało się, że w niewidzialnym świecie jego klęska zbliża się coraz szybciej. W końcu nastąpił najbardziej dramatyczny moment, którego nie jest w stanie sobie wyobrazić nikt, kto nie widział tego na własne oczy i nie słyszał na własne uszy. Około godziny drugiej, podczas gdy Katarzyna wygięła głowę i ciało daleko poza oparcie krzesła, ten domniemany anioł szatana głosem, który wydawał się niemożliwy do wydobycia z ludzkiej krtani, zaryczał słowa: »Jezus zwyciężył! Jezus zwyciężył!« Gdziekolwiek dotarł ten głos, został też i zrozumiany, wywierając na wielu osobach wstrząsające wrażenie. Teraz władza i moc tego demona wydawała się z każdą chwilą bardziej złamana. Był coraz cichszy i spokojniejszy, mógł wykonywać coraz mniej ruchów i w końcu zniknął całkiem niezauważalnie jak życie umierającego, ale stało się to dopiero około godziny ósmej rano. To był moment, w którym dwuletnia walka się zakończyła. Byłem o tym wewnętrznie tak mocno przekonany, że następnego dnia, w niedzielę, kiedy miałem wygłosić kazanie na temat hymnu uwielbiającego Marii, nie powstrzymałem się, by dać wyraz mojej triumfalnej radości.”

8. Rezultaty zwycięstwa

Rzeczywiście walka została zakończona zwycięstwem. Cała trójka rodzeństwa została całkowicie i na stałe wyzwolona, natomiast dalszych rezultatów nikt się nie spodziewał. Pierwszym objawem było po-

ruszenie wśród młodzieży przygotowującej się do konfirmacji. Blumhardt zaczął otrzymywać listy zawierające wyznania osobistych grzechów, na lekcjach zapanowała „odczuwalna obecność Ducha Świętego”, a młodzież spontanicznie zaczęła spotykać się po domach na wspólne modlitwy. W dniu Nowego Roku na plebanii zjawił się człowiek znany z tego, że zawsze kłamał jak najęty, chcący teraz wyznać swoje grzechy. Blumhardt nie potraktował go poważnie i kazał mu odejść, sądząc, że udaje, ale niebawem wrócił i nie spoczął, dopóki nie wyrzucił z siebie całej grzesznej przeszłości swojego życia. Blumhardt nie wiedział, jak się zachować. W końcu położył na niego ręce i udzielił mu rozgrzeszenia. W podobny sposób postępował potem z wyznającymi grzechy zawsze. Mówi o tym: „Wrażenie, jakie ta absolucja wywarła zarówno na mnie, jak i na tym człowieku, jest niezapomniane. Kiedy powstał, jego całkiem zmieniona twarz promieniała radością i wdzięcznością. Czuję się, jak gdybym wkroczył w całkiem nową, nieznaną mi sferę działania świętych mocy duchowych.” Jak podczas walki odkrywał z przerażeniem realnie istniejące moce zła, wyzwalone i zasilane przez grzech, tak teraz, dzięki odniesionemu zwycięstwu, było mu dane odkrywać z zachwytem równie realnie istniejącą potęgę Bożej łaski, wyzwalaną przez pokutę, skruchę i wiarę, przeobrażającą ludzi i budzącą w nich nowe życie.

Rozpoczęła się teraz długa procesja przychodzących i domagających się posłuchania. Pokój gościnny na plebanii przekształcił się w poczekalnię, gdzie godzinami we dnie, a nawet i w nocy czekała kolejka na wejście do gabinetu proboszcza. Niektórzy musieli przychodzić kilka razy. Przebudzeni rozpoczęli spontaniczne spotkania w swoich domach. To już nie chodziło o nielicznych, jak dawniej w Iptingen, lecz o duchową lawinę, która ogarnęła całą miejscowość, a także parafię filialną w Haugstett. „Do Świąt Wielkanocnych ten ruch ogarnął całą parafię za wyjątkiem kilku osób.” Przemiana duchowa była bardzo głęboka i wyraźnie widoczna na zewnątrz. Niebawem zaczęli pojawiać się zamiejscowi — najpierw z ciekawości, ale zaraz potem tak samo głęboko poruszeni i pokutujący. Przemiany doznawało także wielu z tych, którzy wcale nie rozmawiali z Blumhardtem. Szczególnie w niedziele zjawiało się coraz więcej osób — najpierw setki, później nawet ponad tysiąc. W ciągu kilku miesięcy ten duchowy ogień przeniósł się do ponad 100 okolicznych miejscowości na dużych połaciach Wirtembergii i poza jej granicami.

Wysłuchawszy wyznań swoich parafian Blumhardt w całkiem nowym świetle zaczął widzieć stoczony bój duchowy i jego znaczenie. Dobra, prawie że wzorowa parafia okazała się kryć w sobie straszną, powszechną zarazę grzechu, która była przyczyną duchowego skrępowania

nia i dawała swobodę panowaniu się mocy ciemności. W wyznaniach dominowały trzy dziedziny grzesznych zachowań: Po pierwsze czary i okultyzm wszelkiego rodzaju, wróżenie, zamawianie, wywoływanie duchów, zabobony itd. Po drugie grzechy niemoralności, nieczystość seksualna, cudzołóstwo, kazirodztwo, molestowanie nieletnich, współżycie ze zwierzętami, folgowanie pożądlivościom i wiele innych. I po trzecie, różne postaci nieuczciwości, wprowadzanie w błąd, kłamstwa, oszustwa, kradzieże, szantażowanie dla zysku i tym podobne. Odniesione zwycięstwo okazało się być nie tylko wyzwoleniem dla trzech opętanych, lecz potężnym duchowym przełomem, w którym duchowe zwierzchności poniosły klęskę, co otwarło drogę do nieskrępowanego działania mocy Bożej i do przebudzenia.

Przebudzenie charakteryzowało się także występowaniem uzdrowień. Następowaly one nie tylko przez osobistą usługę Blumhardta, lecz często spontanicznie: w kościele podczas nabożeństw, w domach wiejskich podczas radosnego śpiewu, a nawet w drodze do Möttlingen lub z powrotem. Literatura źródłowa zawiera znaczną liczbę konkretnych przypadków dramatycznych uzdrowień, a także nawróceń ludzi z marginesu, alkoholików i przestępców. Niektórzy z nich pochodzili z odległych miejscowości Schwarzwaldu i szli pieszo do 5 godzin. Pewna kobieta z Neuweiler, chora na raka, której lekarze nie dawali już żadnej nadziei, wróciła z takiej podróży nie tylko cieleśnie zupełnie zdrowa, ale także całkiem przemieniona duchowo. Poruszony tym jej sąsiad, który był „wariatem”, poszedł tam także i tak samo wrócił zmieniony, a niebawem pozyskał też dla Jezusa żonę i sześcioro dzieci. Po nich jeszcze wielu innych z Neuweiler zostało pozyskanych „dla Jezusa”. Wszyscy przeobrażeni w ten sposób zaczęli spotykać się regularnie, by czytać Słowo Boże i modlić się. Podobne wydarzenia były na porządku dziennym także w wielu innych miejscowościach.

Osobny rozdział stanowi posługa uwalniania od chorób psychicznych i wpływów demonicznych. Odniesione zwycięstwo w walce duchowej sprawiło, że wiele podobnych przypadków udało się rozwiązać tym samym sposobem: modlitwą i wiarą w moc imienia Jezus. „Zakrystia kościoła była zazwyczaj pełna osobliwych ludzi: epileptyków i umysłowo chorych w mniejszej lub większej liczbie.” I doznawali oni tutaj, choć bez rozgłosu, znaczącej pomocy i wyzwolenia. Niektórzy, wymagający pozostania dłużej, znajdowali miejsce, opiekę i pomoc na plebanii. Posługa uwalniania stała się szczególnie charakterystyczna dla całego dalszego życia Blumhardta, jego żony Doris i... Gottliebin Dittus, która jak Maria Magdalena, całkowicie wyzwolona od demonów, oddała resztę swojego życia Jezusowi. Zamieszkała na plebanii i nie tylko pomagała opiekować się dziećmi Blumhardtów, lecz odgry-

wała odtąd znaczącą rolę w całej ich posłudze. Do bliskiego otoczenia Blumhardtów należała też odtąd jej siostra Katherina i brat Hansjörg. Okres owocnej, wytężonej pracy, obficie wynagradzanej wielu dowodami Bożego błogosławieństwa, było teraz dane przeżywać Blumhardtowi i ich bliskim współpracownikom przez kilka następnych lat.

9. W posłudze uwalniania

Po pewnym czasie zewnętrzne oznaki przebudzenia w Möttlingen zaczęły powoli wygasać, nie słabnął natomiast, a raczej nasilał się napływ osób, przybywających w poszukiwaniu wyzwolenia z różnego rodzaju skrepowań cielesnych, psychicznych i duchowych. Zakrystia i plebania okazały się być już niewystarczające, a prowadzenie dwóch parafii i jednocześnie posługi uwalniania stawało się zadaniem coraz trudniejszym. Dlatego, biorąc także pod uwagę wciąż napięte stosunki z konsystorzem, Blumhardtowie, po dłuższym rozważaniu tej sprawy przed Bogiem, podjęli w końcu decyzję poświęcenia się wyłącznie posłudze uwalniania. Wymagało to znalezienia nowej siedziby i urządzenia się w całkiem nowy sposób. W międzyczasie rodzina Blumhardtów powiększyła się jeszcze o czworo dzieci, z których dwoje zmarło. Stan zdrowotny Doris i ciężkie przeżycia z dziećmi stanowiły dramatyczny okres w ich życiu, mimo to jednak w ich domu nie przestawały rozbrzmiewać pieśni uwielbienia i dziękczynienia, co pozwoliło im przejść zwycięsko przez wszystkie doświadczenia.

W staraniach o nabycie obiektu odpowiedniego do przyszłych zamierzeń nie obyło się bez początkowych rozczarowań, kiedy wymykały się pewne rozwiązania, które Blumhardtowi wydawały się być dostosowane do jego skromnych możliwości finansowych. Okazało się jednak po raz kolejny, że Bóg ma dla nich całkiem inne rozwiązanie, o jakim nawet nie marzyli. Wystawiono wtedy na sprzedaż obszerny, dobrze wyposażony dom zdrojowy w niezbyt dobrze prosperującej małej miejscowości uzdrowiskowej Bad Boll. Pan sprawił, że zaproponowano im stosunkowo bardzo niską cenę, poruszył też serca kilku majątnych osób, dzięki czemu w kilka zaledwie miesięcy wspaniała, przestronny i ze wszech miar odpowiedni budynek stał się ich własnością i już w chwili wprowadzenia się do niego nie ciążyły na nim żadne długi. Nastąpiło to wśród licznych wyraźnych dowodów Bożej ingerencji w trakcie pertraktacji, załatwień i formalności. W obiekcie było 100 miejsc hotelowych, duża sala koncertowo-balowa, którą przerobiono na kaplicę, obszerne zaplecze i dosłownie wszystko niezbędne, w dodatku z usytuowaniem w malowniczej scenerii dużego parku, idealnej dla celów regeneracyjnych. Przeprowadzka do nowej siedziby nastąpiła 1 lipca 1852. Tu miało być realizowane ich wspólne zadanie życiowe przez wiele następnych lat.

Istotą tej posługi były duchowe dobra, darowane im dzięki zwycięstwu, odniesionemu w Möttlingen. Stoczone tam walki i zdobyte w nich doświadczenie i uzbrojenie owocowały teraz w postaci wyzwalającej mocy, skutecznie działającej w niezliczonych indywidualnych przypadkach na przestrzeni wielu lat. Odbywało się to w harmonijnym nierozłącznym zespole Johanna, Doris i Gottliebin, przy czym szczególny dar rozpoznania istoty indywidualnych duchowych potrzeb pojawił się i rozwinął właśnie u tej ostatniej i w tym zakresie Johann i Doris mogli polegać na niej całkowicie. Do tego indywidualnego zajmowania się potrzebującymi przy zastosowaniu duchowego rozpoznania, modlitwy i mocy imienia Jezus dochodził w Bad Boll drugi istotny czynnik w postaci stworzonej tam przez całą tę trójkę i ich współpracowników ogólnej atmosfery Bożej miłości, Słowa Bożego i uwielbienia. W odróżnieniu od Möttlingen wieloletni okres ich posługi w Bad Boll nie odznaczał się żadnymi dramatycznym wydarzeniami, natomiast liczba osób wszystkich stanów, stopni zamożności i rodzajów potrzeb, które doświadczyły tu błogosławieństwa wyzwolenia i odnowienia przez potężnie działającą moc Bożą, osiągnęła z biegiem lat wiele tysięcy.

Ponieważ w Bad Boll stosowano też nadal w ograniczonym zakresie wodolecznictwo, bywali tam również ludzie zdrowi, nie rzadko znani politycy, działacze, artyści, pisarze. Wszyscy oni z zachwytem wyrażali się o panującej tam atmosferze, określając ją prawie tak samo, jak swego czasu Blumhardt określał atmosferę duchową w Korntal. Wielu z nich wyjeżdżało z Bad Boll nie tylko wypoczętych, lecz także duchowo mocno poruszonych, a nawet przemienionych.

Dzięki duchowej dojrzałości całego zespołu pracowników stały się możliwe liczne krótsze i dłuższe wyjazdy samego Blumhardta, gdyż posługa uwalniania nie doznawała przez to uszczerbku. Był on często zapraszany jako mówca lub wykładowca na seminaria, zjazdy i konferencje. Przez to zwiększał się istotnie zakres oddziaływania jego posługi. W Bad Boll przebywało jednorazowo nie więcej niż 100 przyjezdnych osób, na zewnątrz zaś stawał nieraz przed tysiącami. W późniejszym okresie w skład zespołu w Bad Boll weszli synowie Blumhardtów Christoph i Theophil, pełniąc tam coraz bardziej znaczące zadania. Obaj oni ukończyli wcześniej studia teologiczne.

Dzięki pomocy synów mogło niebywale rozwinąć się poradnictwo drogą listową. Z biegiem czasu zakres korespondencji o charakterze duszpasterskim wzrósł tak bardzo, że musiano utworzyć własny urząd pocztowy! Tą drogą błogosławieństwo, pomoc duchowa i wyzwolenie płynęły z Bad Boll nie tylko na całe Niemcy, lecz i do odległych krajów świata. W późniejszym okresie Johann Blumhardt wraz z synami

Christophem i Theophilem wydawali nawet przez pewien czas własne tygodniowe czasopismo, zawierające traktaty i rozważania biblijne oraz odpowiedzi na najczęstsze pytania duszpasterskie czytelników.

Przełomowymi datami w dalszej historii ośrodka w Bad Boll były kolejne odejścia do Pana członków jego zespołu. Pierwsza zmarła w roku 1872 Gottliebin, która w międzyczasie wyszła za mąż i urodziła trzech zdrowych synów. O jej znaczącej roli świadczy fakt, iż po jej odejściu zastanawiano się poważnie, czy praca będzie mogła być kontynuowana w dotychczasowej postaci. W roku 1880 odwołany został do Pana sam Johann Christoph Blumhardt, ale i wtedy praca nie ustała, prowadzona dalej przez niestrudzoną Doris i jej synów. Po jej śmierci, która nastąpiła w roku 1886, kierownictwo ośrodka objął syn Christoph Blumhardt, który jednak nie był w stanie podjąć zadaniom, tak iż posługa uwalniania zupełnie ustała. Po jego śmierci w roku 1919 ośrodek w Bad Boll przeszedł w ręce pietystów z ruchu hrabiego Zinzendorfa. Istnieje i działa on ciągle jeszcze jako zakład leczniczo-wypoczynkowy z opieką duszpasterską.

10. Przesłanie życia Blumhardta

Spuścizna literacka Blumhardta zawiera cenne treści, które nie do końca zostały jeszcze przez Kościół spożytkowane. Duża część tego materiału to obrona Pisma Świętego i postępowania opartego na wierze w jego prawdziwość. Blumhardt rozważał bowiem skrupulatnie każdy możliwy i niemożliwy argument przeciwko Biblii nie tylko dlatego, że był przez liberałów i dyspensacjonistów zawzięcie atakowany, ale także dlatego, że sam był początkowo sceptyczny i dopiero żmudnie, stopniowo odkrywał wcześniej nieznanie sobie prawdy biblijne i ich znaczenie. Prócz tego w swoich pisemnych wypowiedziach z właściwą sobie bezwzględną otwartością i szczerością dawał wyraz wielu swoim osobistym refleksjom, które jeszcze dziś są niezmiernie cenne.

Blumhardt miał pełną świadomość tego, że przeżycia i wydarzenia, które były jego udziałem, nie mogą być w panujących wtedy realiach trwałe. W dzisiejszej terminologii można by powiedzieć, iż zdawał sobie sprawę z tego, że młodego wina przebudzenia, jakie zaczęło się wlewać do Kościoła, nie były w stanie utrzymać stare bukłaki ówczesnych struktur i praktyk kościelnych. Dlatego wybiegał myślami w przyszłość, upatrując z utęsknieniem dalszego Bożego działania. Jego wypowiedzi na ten temat są z perspektywy czasu bardzo znamienne:

„Świadomość tego, że choćby to dzieło było zakorzenione jeszcze dwa razy głębiej, poprzez normalny bieg rzeczy prędzej czy później będzie musiało wyschnąć, coraz bardziej utwierdzała mnie w przekonaniu, że chrześcijaństwu, niestety, brak jest owego szczególnego

Ducha Pięćdziesiątnicy pierwszego Kościoła i że bez niego nie będzie można zbudować nic trwałego. To prowadziło mnie do usilnych prób o nowe wylanie Ducha Świętego, tym bardziej, że jest wystarczająco wiele znaków, iż bardzo blisko jest czas, który Pismo Święte nazywa «ostatecznym». Im wyraźniej niż wcześniej widzę teraz zepsucie i kalektwo chrześcijaństwa, tym bardziej nieodparty odczuwam nacisk, aby prosić o jego odnowę, która może nastąpić tylko poprzez szczególne poruszenie Ducha Świętego, przychodzące z góry... Staranne rozważenie tekstów w Joela 3 i Objawieniu 14 prowadzi mnie do nieodpartego wniosku, że przepowiedziane czasy antychrysta poprzedzać będzie ogólne poruszenie i podążanie w kierunku dobra. Moje serce ściska się, kiedy przyglądam się światu, ale rozszerza się, kiedy patrzę wzwyż i badam obietnice. Ach! Oby już wkrótce nastał na ziemi kres okropności i narzekania!” To był jeden z wielkich tematów zwiastowania Blumhardta aż do końca jego życia. Coraz tęskniej oczekiwał i ufał nawet, że sam jeszcze być może doczeka nowego wylania Ducha Świętego, a przez to przebudzenia się całego świata, zanim nastaną ostateczne czasy antychrysta.

Blumhardt zauważył także z biegiem czasu i szczerze przyznawał, że darowana jemu osobiście moc, z jaką mógł posługiwać innym w czasie przebudzenia, powoli słabnie. W związku z tym pisał: „Kiedy teraz patrzę wstecz na te wszystkie wydarzenia, odnoszę wrażenie, jak gdyby została mi odsłonięta na chwilę pewna zasłona, która znowu się zamknęła. W tym czasie zobaczyłem jednak coś i doświadczyłem czegoś, o czym nie mogę zapomnieć. «Pan jest blisko» — brzmi bez przerwy w moim wnętrzu. Blisko z wielkim miłosierdziem dla swojego zniewolonego i zhańbionego ludu, blisko ze światłem po długiej nocy. Dlatego zmagam się i walczę w cichości dalej, aby Pan usunął «zasłonę, rozpocząta nad wszystkimi ludami, i przykrycie, rozciągnięte nad wszystkimi narodami» (Jer 25:7). Jestem też tego pewien, że mimo grasowania na ziemi nasienia wężowego Pan spojrzy ponownie łaskawie na swój lud i odstąpi przed nim swoje oblicze jak na początku, tak aby nawet głupi nie błądzili i aby usta bluźnierców zostały zamknięte.”

Patrząc wstecz na przebudzenie w Möttlingen napisał: „To była osobista walka z osobistościami świata ciemności, którą toczyliśmy przeciwko sobie, aby przekonać się, kto będzie Panem... Była to walka, w której sama ciemność musiała wykrzyknąć, być może po raz pierwszy: »Jezus zwyciężył!«... To był wspaniały czas. Kto to widział i przeżył, ten z pewnością powie, że jest to bez wątpienia przedsmakiem jeszcze wspanialszego czasu błogosławieństw, który jeszcze nadejdzie, a który nie ograniczy się do jednego zboru, lecz ogarnie cały świat.”

„Możliwe, że owoce naszych modlitw staną się udziałem dopiero

późniejszych pokoleń i że wzniosą one pieśni uwielbienia, których my sami pragnęliśmy. Przebicie murów mocno obwarowanego miasta wymaga wielu uderzeń. Powiedziałbym, że nasze modlitwy są uderzeniami taranów w bastiony księcia ciemności, które należy często powtarzać. Może uplynie wiele lat, albo nawet przeminie kilka pokoleń, zanim wreszcie nastąpi przełom. Żadne z tych uderzeń nie jest jednak daremne i jeśli będziemy je kontynuować, te mocne mury będą musiały w końcu upaść, tak aby wspaniałość Pańska mogła swobodnie kroczyć naprzód, niosąc błogosławieństwo i uzdrowienie spustoszonej ludzkości i aby sam Pan mógł w końcu zjawić się w swojej chwale.”

Dziś, półtora wieku później, dostrzegamy w tych wypowiedziach wyraźne przesłanie prorocze. Blumhardt się nie zawiódł w swojej ufności. Pan nie zawiódł swojego ludu. Przez cały ten czas dzieło odnowy robiło szybkie postępy. Pan wzbudzał sobie kolejnych pionierów, dokonujących dalszych odkryć i wskazujących ludowi Bożemu drogę do jego celu. Od czasów Blumhardta młode wino lało się wielokrotnie, a Bóg zadbał także o nowe bukłaki. Mamy dzisiaj w bród doświadczeń i wskazówek. Wiemy, jak toczyć walkę duchową i jak prowadzić posługę uwalniania. Jeśli coś nie działa, wiemy dlaczego i umiemy temu zaradzić. Ale walka nie jest zakończona. Niezależnie od tego, czy radujemy się z tego, co już zostało zrobione, czy bolejemy nad tym, co jeszcze trzeba zrobić, jedno jest pewne. Kiedykolwiek i gdziekolwiek Bóg znajdzie ludzi podobnie jak Blumhardt gotowych złożyć samych siebie na ołtarzu i rzucić na szalę wszystko, aby zwyciężyć lub zginąć, tam z całą pewnością na nowo brzmieć będzie donośny głos ludzi, demonów, a może i kamieni: „Jezus zwyciężył!”

Na podstawie źródeł niemieckich opracował Józef Kajfosz

Wszystkie cytaty przetłumaczono z książki:

Erwin Rudert (Herausgeber): „Ich will von Blumhardt lernen daß Jesus Sieger ist”, 7. Auflage, Verlag Ernst Franz, Metzingen, Württemberg 1996.

Już dosyć napatrzyliśmy się na to, co robi diabeł. Teraz zobaczymy, co potrafi Jezus!

Johann Christoph Blumhardt

Wydawca: Oficyna „Cel”, Józef i Emilia Kajfosz, 30-147 Kraków,
 Na Błonie 15/91; tel./fax: (+48 12) 637 06 18; E-mail: docelu@jezus.pl
 Serwis internetowy: <http://www.docelu.jezus.pl> Nakład 250 egz.
 Rachunek bankowy: Nazwa rachunku: Józef Kajfosz, Na Błonie 15, Kraków
 Bank: PKO BP SA, V Oddz. Kraków; Nr rachunku: 85-10202906-211030158.
 W Polsce kopiowanie, powielanie i przedruk dozwolone bez ograniczeń.
 International Copyright Secured. Pojedyncze numery są bezpłatne.